ROZMAITOŚCI.

Dnia 8 lutego, Nr. 6. roku 1845.

Czarne pierścienie.

POWIEŚĆ MARYI Z. CH. P...

LIST PIÉRWSZY.

Chcesz kochany Ludwiku, ażebym — dokądkolwiek się obrócę, wszystko ci donosił co się mnie tycze? — Nie opuszczając mniejszych szczegółów, zacznę więc opisywać moje zdarzenia od chwili, kiedy wydarłszy się z twych przyjacielskich uściśnień, rzuciłem się w powóz, zasłoniwszy twarz płaszczem, aby ukryć przed światem łzę piérwszą, którą przyjaźń wycisnęła z mego oka.

Dokąd mnie popycha, myślałem sobie, moja niespokojność?... gdzież wstrzyma kroki moje? — pocóż opuszczam dom przyjaciela i zimne groby rodziców, jedyne miejsca, na których czuję jeszcze że mam serce? — chcę zwidzać obce kraje, uwielbiać spaniałe dzieła natury, dziwić się nad pysznémi pomnikami sztuki ludzkiéj — a umysł, umysł mój niczém nie zadowolony, będzie nieustannie powtarzał swe gorzkie pytanie: „Na cóż to wszystko?" — Nie będzie mego Ludwika ażeby mnie przekonywał przy grobie Cecylii Metellii: że go miłość ojcowska poświęciła; — »pycha to, pycha, szepnie mi zły jenijusz; nie było łez ani żalu, natomiast postawiono pomnik» — A tak, zniknie dla mnie cały wdzięk sztuki, i znowu wpadnę w ciemne méj wyobraźni marzenia. Lecz czemuż oddalam się od przyjaciela, kiedy on tylko jeden zdoła rozpędzić czarne chmury z mego umysłu?... Daruj Ludwiku — ale na to żadnéj odpowiedzi nie miałem. Czuję, że cię kocham, a jednak obok ciebie zupełnie szczęśliwym nie jestem.

Podobnemi zajęty myślami, jechałem dni kilka. Raz chciałem wracać, to znowu jechać, jechać, żeby stanąć jak najprędzéj — gdzie?... chciałbyś zapewne wiedzieć; lecz oto pytaj się przeznaczenia, wypadku, a najpewniéj Istoty dobroczynnéj, która niewidomie kieruje naszémi czynnościami, wtedy, gdy woli naszéj pewności nadać nie umiemy.

Te kilka dni, spędzone w zupełnéj jednostajności, zaczęły mnie unudzać; raz wzbudzony pięknością czasu, wychyliłem głowę z powozu, spojrzałem w niebo i na ziemię; pięknie było, lecz martwo. Kiedy serce nie przemawia, wtenczas i natura milczy; nie spostrzegłszy nic powabnego, nic zachwycającego, wsunąłem się nazad, spuściłem firanki przed promieniami słońca, i zniechęcony bardziéj niż kiedy, usnąłem z nudów.

Nie wiem jak długo trwał sen mój; nagle zostałem przebudzony okropnym trzaskiem piorunu, zerwałem się, a odsunąwszy firankę, przerażający uderzył mnie widok. Ze wszystkich stron czarna chmura zasłoniła widokrąg, gdzieniegdzie ją tylko jaskrawe błyskawicy przerzynały pasy; piorun uderzał za piorunem, a przerwy okropnéj cichości, zapełniał odgłos zdaleka toczącego się po górach grzmotu. Właśnie nadjechałem nad Wisłę, przez [illegible] się na promie przeprawiać. Już na nim był jeden powóz, wysiadłem, chcąc zobaczyć czy będzie można razem przepłynąć, a zapewniwszy się, że było dość miejsca, kazałem wjechać; sam zbliżyłem się do poprzedzającego powozu i słyszałem tylko głos podeszłego wieku kobiéty, która w wielkiéj trwodze zwoływała na pomoc wszystkich świętych z nieba. Postąpiwszy daléj, ujrzałem dwie postacie, a raczéj dwa anioły, gdyż niemi zdawały mi się być dwie piękne kobiéty stojące koło przewoźnika, wpatrując się w modrawe nurty Wisły. Powiesz raz przynajmniéj, żem dobrze uważał kobiéty; jedna była ledwie że nie wysoka, tak wysmukła i giętka, iż mi przypominała lekkie cienie piękności, w pieniach Ossyjana; zielona jedwabna suknia, krzyż szmaragdowy spadający na złotym łańcuchu ze szyi, i czarny kapelusz, z pod którego się bląd pukle wymykały z długą tegoż koloru zasłoną, były całą jéj ozdobą. Jéj miłe, z niebieskich ócz łagodne wejrzenie zdawało się uskarżać, że w poranku życia, zbladły róże na świeżych licach, niewinnéj jak ona dziewczyny. Druga ładna, żywa, z szlachetném ułożeniem, jak większa część naszych rodaczek, w białym była ubiorze, na głowie tylko paliowy włoski kapelusz przykrywał czarnością lśniące się jéj włosy.

Zazdrośny Jowisz, który także lubił niegdyś pię-

kne ziemianki, nie dozwolił mi dalszych robić spostrzeżeń, gdyż rzucił gwałtowny piorun w dąb stojący na przeciwległym brzegu Wisły. »Teofilo!» zawołała miłym głosem łagodna blondyna — »Pójdź do mnie, przy mnie będziesz bezpieczną, gdyż czuję, że mnie moc piorunu nie zabije.» To mówiąc, z uśmiechem rozciągnęła swoję krepową zasłonę, i okryła nią wylękłą towarzyszkę, która się do niéj tuliła.

Obojętna spokojność blondynki zajęła mnie trochę; zbliżyłem się do nich — a że niebezpieczeństwo wspólne zbliża i obznajmia ludzi, w poznaniu i rozmowie naszéj wnet panowała łatwość i uprzejma poufałość znajomych osób. Patrzyliśmy na gorejący dąb ogniem piorunowym, którego ciemne płomienie, odbijając się w wodzie, przydawały okropności przerażającemu widowisku wzburzenia żywiołów. »Ah! Jakże ci zazdroszczę» — mówiła Teofila —, »raz przynajmniéj twéj niewzruszonéj spokojności; twój uśmiech zdaje się oddalać od ciebie pociski piorunu, gdy ja za każdém uderzeniem jego myślę w przestrachu, że we mnie utkwiły.» — »Lękasz się śmierci,» odrzekła ujmująca blondyna, »bo jeszcze twego serca nie napełniła boleścią, bo życie miłych ci osób, każdą twą chwilę ubarwia roskoszą; ale kiedy jéj nieubłagana srogość przyprowadzi umysł do tego stanu, iż się jéj pod najgroźniejszą postacią nie lękamy, wtenczasto spokojność straszniejsza nad wszystkie burze przyrodzenia.» — Wymówiwszy te słowa, [illegible] wypogodzoną twarz okryła blada trwogi osłona, jak białośnieżne obłoki okrywają niebo. Jakże była piękną!... Stałem jak zczarowany, i zapewne byłato chwila nienajkorzystniejsza dla mojéj powierzchowności — lękam się czy owa bojąca się panna Teofila, która się figlarnie uśmiechnęła, nie porównała mnie do gorliwego słuchacza kazania, który otwiera gapiowato gębę, jak gdyby chciał połknąć słowa niemogące trafić uszami do jego prostotnego pojęcia. Ten złośliwy trochę uśmiech wrócił mi takt zwyczajny. Zmierzyłem ją śmiałém spojrzeniem — i teraz na ładną pustaczkę przyszła koléj zżenowaną minką i zrumienioną twarzyczką grać rolę wieśniaczki.

Coś nakształt wzruszenia — litości — obudziło się we mnie na wyrzeczone słowa blondyny, i ciągnęło mnie do niéj. — Nie uśmiechaj się, nie byłoto jeszcze nic podobnego do miłości, — a wreszcie jesteśmy tak daleko od czasów sentymentalnych, gdzie pierwsze spojrzenie jak płomień zarzewia ogarnęło i spaliło serce!!... Bądź co bądź — zbliżyłem się do niéj i rzekłem z prawdziwém uczuciem: »Gdzież litość, gdzie sprawiedliwość nieba, kiedy boleść tak piękne serca uciska?... Przyjdzie ona, przyjdzie zapewne, czucie radości wzniecić w duszy pani — są chwile dla nieszczęśliwych, które budzą uśpioną roskosz z cichego łona boleści, nagradzając kilkoletni smutek jedném tylko uczuciem» — Zapewne w twarzy mojéj wymawiając te słowa, malowały się wszystkie mocne uczucia, które wrą w głębi mojéj; gdyż w spojrzeniach obudwóch kobiet widziałem wiarę w siebie i w słowa moje.

Nastąpiła chwila milczenia — wynurzaliśmy uczucia nasze jak za dobrych dawnych czasów, gdzie zawsze mówiono (o czém bardzo wątpię) jak myślano. Trochę zdziwieni spojrzeliśmy na siebie. Na szczęście z pomieszania, w którém byliśmy, wybawił nas głos kobiety siedzącej w powozie, wołając — »Teofilo!. Zofijo! Wsiadajcie czémprędzéj, żeby przed deszczem zajechać do domu.» Na głos ten pobiegły obiedwie, wskoczyły tak szybko do powozu, iż nie mogłem nawet podać im ręki. Już prom przybił do brzegu; niecierpliwe konie, nie czekając znaku ruszenia, tak prędko uleciały, iż ledwie spojrzeniem mogłem pożegnać Zofiję.

Zostawszy sam, pierwszy raz począłem się lękać; drzałem na grom piorunu, ognie błyskawicy wskróś mnie przenikały, wicher z przeraźliwém świstaniem jęczał wokoło mnie, ciemne nurty Wisły mocniéj zaszumiały — cała natura groźniejszą przybrała postać — Zofija się oddalała — gasły płomienie dogorywającego dębu, jak chwilowéj radości promienie w mém sercu. To nie są słowa żartu; nie, kochany Ludwiku, opisałem ci prawdziwy stan wówczas mojéj duszy. — Nie raz, chociaż patrzyłeś w twarz moje, tak trudno poznawałeś we mnie przejście gorzkiej ironii w uczucie, iż teraz muszę ci tłumaczyć moje wyrazy, nie mające innéj fizyjognomii nad biały na czarném koloryt. Prawda myśli i czucia, da się tylko niewątpliwie odczytać w wyrazie twarzy, nie w słowach, któremi ją malujemy; trzeba przejść szkołę życia tak gorzko jak ją ja przeszedłem, aby być nieczytelnéj fizyjognomii. Nabyłem tego skarbu, czasem przydatnego w życiu, kosztem zmarnowanych uczuć, które rozsiałem pomiędzy niewdzięcznych.

Gdym wsiadł do powozu, grad gęsty i znacznéj wielkości, obsypywał zbożem pokryte pola. Nadzieje mieszkańców nadwiślańskich niknęły wokoło. Ileżto, myślałem, westchnień, łez, narzekań i wszystkich oznaków smutku, nastąpi po téj godzinie burzy, niewzruszonéj ani błaganiem ubogich, ani przekleństwem nędzarzy. — Któż wstrzyma te westchnienia?... Kto łzy niedoli obetrze?... Tkliwa Zofijo, teraz smutne dnie twoje zapełnisz cnotliwém zatrudnieniem wspierania biednych właścicieli już zubożałych — zapomnisz żeś nieszczęśliwa — teraz głos twój przybierze dźwięk ujmującéj pociechy, aby nią napełnić serca strapione. — Lecz któż mnie zapewnił, że ty jesteś ozdobiona témi cnotami, którebym chciał przydać twéj anielskiéj postaci?...

Może jesteś z rzędu tych kobiet, które mają łzy, nieszczęścia, spokojność i czułość dla ujęcia i zwodzenia mężczyzn, a serce zimne, umysł próżny, nie myślący, chyba o nowych sposobach pokrycia niedostatku — może teraz śmieje się z swoją przyjaciółką z mego uniesienia i dzielenia z nią wymyślonego smutku — ale nie, to być nie może!... Dotychczas, prawie w jednej chwili poznawałem z gruntu kobiety, czyliż ta tylko jedna miałaby ujść mego przenikliwego wzroku?... Chcę ją poznać, chcę się dowiedzieć, czy zostałem pierwszy raz igraszką płochej kobiety, czy też moja nielitościwa wyobraźnia obok prawdy zawsze wątpliwość kładzie, w doskonałości zawsze wad wyszukuje. A Teofila?... Takich jak Teofila powabnych kobiet, wiele już widziałem, jednak jest w niej wdzięk odróżniający, który ją nad tamte przekładać każe.

Gdy te uwagi czyniłem, przyjechałem do W.; tu umyśliłem zabawić dni kilka, pierwszy z nich poświęcam tobie, następujące oddam ciekawości, zwidzę te mało mi znane okolice; teraz sam tylko w nich panuje smutek; grad poczynił wielu nieszczęśliwymi, a od tych nie trzeba uciekać. Żegnam cię Ludwiku, zgaduję jakie są twoje życzenia po przeczytaniu tego listu — ale go nie pokazuj twojej dobrej żonie, bo śmiałaby się ze mnie, że się jéj przepowiednie ziściły: iż dla mnie spadnie kiedyś śród burzy, idealna kobieta z nieba.

*

LIST DRUGI.

Dowiedziałeś się z mego poprzedzającego listu, iż zamiarem moim było poznać nadwiślańskie okolice, a bardziej jeszcze Zofiję; przebiegałem pobliskie wioski, miasteczka, wszędzie tylko ślady spustoszenia pól spostrzegałem, Zofii nigdzie. A chociaż w W. kilku znajomych znalazłem, nie spytałem się o nią nigdy; przypiszesz to może mojemu oddzielnemu charakterowi — może dziwactwu, lecz się omylisz Ludwiku — byłoto zwyczajne postępowanie wszystkich zakochanych, — byłato bojaźń, żeby nie mieć o niej fałszywego doniesienia, lub nie usłyszeć, iż kochała lub kocha. — Oh! Oh! zawoła pan Ludwik. — I po cóż te wykrzykniki — i cóż tak dziwnego gdybym się też zakochał? — Czyż nie dziwniejsza iż dotąd się nie kochałem; wszak Dante mając lat dziewięć zakochał się w dziewięcioletniej Beatryce Portinari — a ja mam lat dwadzieścia sześć!... A ileżto już wszystkie stryjenki i ciotunie moje nie robiły hałasu, gdym się w ich pięknych i niepięknych faworytkach i kuzynkach, nie mógł na żaden sposób, nawet wypiwszy w herbacie lubczyka, zakochać. — A teraz w przeciwnym razie, dziwy! — Trudno dogodzić ludziom — zechcę więc dogodzić sobie, gdybym tylko mógł.

Przepędziłem dwa tygodnie, rano w nadziei, wieczór w zwątpieniu, gdy jeden z moich znajomych uwiadomił mnie, iż majętniejsi obywatele z pobliskich wsi i miast chcą dla wsparcia uszkodzonych gradobiciem majątków ubogich włościan, dać bal za parę dni i na nim o dalszych sposobach ratowania umówić się wspólnie. Oznajmiłem mu, iż i ja chcę należeć do szlachetnych zamiarów towarzystwa, i chętnie przyłożę się do ich układów.

Dwa dni, ten bal poprzedzające, przepędziłem przyjemnie, bo w nadziei. — Ah! Jakże to miło spodziewać się — dla mnie, dla mnie szczególniej, który oddawna nie mając żadnych życzeń, żyłem bez nadziei.

Słońce rozlało swe czyste promienie na piękną okolicę W. w dniu drugiego lipca. Ze wszystkich stron zjeżdżały się powozy, gdyż bal miał się zaczynać o godzinie czwartej po południu, w przyjemnym lasku bukowym o ćwierć mili odległym od W., w którym poprzednio usposobiono na ten cel miejsce, urządzając go w sposób sali. Chcąc wprzód zobaczyć wszystkich, nie będąc spostrzeżony od nikogo, wymówiłem się moim znajomym, chcącym mi towarzyszyć, iż moje interesa zatrzymują mnie jeszcze parę godzin, lecz że nieomylnie przybędę po upłynieniu tychże.

Ztrudzony bardziej myślami niż drogą, przybyłem do lasku. Reką natury robione ulice, prowadziły mnie do miejsca, z którego przyjemne dźwięki muzyki się rozchodziły. Zbliżywszy się do niego, stanąłem tak, żeby nie być widzianym. Oczy moje przebiegły koło tańcujących. Spostrzegłem wesołą Teofilę, celującą wdziękami i lekkością pomiędzy tańczącemi hożemi nadwiślankami. Jéj przyjaciółki nie widziałem; nieśmiałem się posunąć daléj, z bojaźni przekonania się, iż jéj nie było. Patrzyłem długo na Teofilę, która swą piękną głowę, ozdobioną różami, zawsze ku jednéj zwracała stronie. Zapewne, pomyślałem sobie, w téj stronie jest Zofija; tyle zaufania i czucia w spojrzeniach, są oznaką przyjaźni, i nie omyliłem się; gdyż za wejściem do grona bawiących się, ujrzałem Zofiję, Zofiję piękną i niewinną jak miłość matki. — Zachwycony, wpatrywałem się w nią długo. Właśnie skończono grać ochoczego mazura. Teofila przybiegła do niéj z swemi towarzyszkami tańcu i zawołała: »Jakżeś ty dziś ładna Zofijo!... Nie mogłam tańczyć z radości, widząc odmianę twego ubioru. Gdybyś wiedziała jak cię zdobią te uploty z bławatków, na twych jasnych włosach; ta różowa suknia, a nadewszystko ten uśmiech weselszy, który od tak dawna nie jaśniał na twéj twarzy. Wierz mi, porzuciłabyś nazawsze ten smutny zielony kolor, i te łzy, które zmywają twoje rumieńce« — »Ah! prawda, prawda!« zawołały wszystkie kobiety, otaczające Zofiję. »Ładna jesteś jak zorza! Przybierz odtąd ja-

sne kolory — bądź wesołą tak jak my, dobra, luba Zofijo!...” Nigdy jeszcze nie widziałem z takim wyrazem szczerości, chwalących kobiet piękność kobiety. Wszystkie zdawały się oddychać jednem uczuciem najtkliwszéj przyjaźni. »Kochane przyjaciółki,” — odpowiedziała Zofija — »czemuż mnie chcecie pozbawić mego ulubionego koloru, czyż wam nie wiadomo, jakie wspomnienia przywiązują mnie do niego?... Czyż myślicie, że odzyskam wesołość w innym ubiorze?... Ah! mylicie się bardzo — prawda że dzisiaj wolniéj serce moje oddycha; ale to zamiar, który nas tu zgromadza, wasza wesołość, i okazana przychylność dla mnie, rozjaśniły grobowe cienia, które mnie ścigać nie przestają. Dzisiaj dopełniłam żądania Teofili — jutro ona pozwoli zostać wierną mojemu postanowieniu.” Żadna już nie nalegała na nią, wszystkie zdawały się podzielać jéj smutek, szanować jéj pamiątki. Mężczyźni zbliżali się do niéj z wyrazem uwielbienia; płochy porzucał swój ton lekki, poważny łagodził głos mówiąc do niéj.

Zofija chcąc odwrócić spojrzenia i uwagę całego zgromadzenia od siebie, zachęcała do tańcu. Siedzący obok niéj obywatel, który swą mężną postacią i ubiorem dawnych przypominał Sarmatów, zawołał: »Dobrze, będziemy tańcować; ale i pani nie wyłączysz się od nas; poważny taniec polski zgadza się z smutnem usposobieniem umysłu; mieści on wiele wspomnień!... Świetną Polskę, mężnych i spaniałych jéj synów; cnotę i skromność jéj córek. przypomina swemi powagą i szlachetnością tchnącemi zwroty.” — »Przyjaciel cierpiącéj ludzkości, który nas tutaj zgromadził, nie może prosić nadaremnie;” odpowiedziała Zofija wstając. Zewsząd zabrzmiały oklaski, i w jednéj chwili stanęło par kilkanaście.

Gdy przechodziły koło mnie, Zofija i Teofila mnie spostrzegły. Widziałem po ich zdziwieniu, iż byłem poznany. Nie wiem dla czego nie mogłem odważyć się oddać im ukłonu, a moja głowa jakgdyby przykuta do drzewa na którem oparty byłem, nie poruszała się w żadną stronę; oczy tylko zwrócone na Zofiję, poiły mnie lubą roskoszą, zbliżając ją do mojéj duszy. — Ah, Ludwiku, jakże te wielkie zgromadzenia oddzielają ludzi od siebie! — Kiedy Zofija obok przyjaciółki, samą tylko groźną naturą otoczoną była, poznać ją, zbliżyć się do niéj i mówić z nią, było dziełem jednéj chwili; a teraz widząc ją wpośród ludzi, zgromadzonych w celu spojenia mocniéj związków towarzyskich, nie śmiałem skinieniem głowy przywitać Zofiję, bojąc się tych zimnych pytań w spojrzeniach: »Kto jesteś?... jakgdyby zobaczono nie człowieka podobnego sobie, ale istotę z nieznanych krain zbliżającą się do nich.

Z zamyślenia w którem byłem, wyrwały mnie głośne wołania: »Solo damy! Solo!...” W téj chwili odłączyli się mężczyźni od kobiet, a Zofija, chcąc zapewnie uniknąć spojrzeń mężczyzn, zwróconych zewsząd na nią, zeszła z posadzki na któréj tańcowano, i będąc pierwszą, poprowadziła swoje towarzyszki w ulice lasku — O, jakże była piękną, przesuwając się pomiędzy ciemne drzewa!... Oddzielona liściami od innych kobiet, przypominała mimowolnie swoją lekkością i ujmującym wyrazem smutku owe mitologiczne nimfy, któremi starożytni zaludniali romantycznie, swe puste lasy i gaje; lecz na czele swych towarzyszek zdawała się być opiekuńczym aniołem chrystyjanizmu, który zesłany z nieba prowadzi śmiertelnych po krętych ścieżkach życia. Gdy się zbliżyła domnie, w uniesieniu już miałem kleknąć przed nią: lecz jéj ręka dotknąwszy się mojéj, obudziła mnie z błogich marzeń do uczucia szczęścia rzeczywistego. „Jestto chwila,” — mówiła do mnie Zofija — »w któréj mężczyźni zrzekli się praw swoich, zostawiając nam wolność wybierania; ja nadużyję tego zezwolenia, i przywłaszczam sobie na chwilę zwyczaj pierwszeństwa w odnowieniu znajomości, który do mężczyzn należy.” To wymówiwszy z uśmiechem mi się ukłoniła i wzięła za rękę do tańcu. Nie wiem teraz, com jéj odpowiedział — pierwszy raz w życiu byłem w zachwyceniu, pierwszy raz uczułem słodycz być uważanym od kobiety. Zofija mówiła do mnie z zaufaniem, każda myśl jéj tłumaczyła uczucie pięknego serca, a rozum ozdabiał je tylko. Przechodząc z nią miłym cieniem okryte ulice, przy odgłosie konających tonów muzyki w oddaleniu, zdawało mi się że jéj lekka rączka prowadziła mnie do krain szczęścia.

Lecz ta chwila trwała nadto krótko; Zofija obawiając się żeby jéj wesołe towarzyszki nie unudziły się poważnym polonesem, oświadczyła chęć przestania tańczyć — i zakończyliśmy.

Do końca balu siedziałem przy Zofii; oświadczywszy jéj, że nie tańcuję, i że prawie nieznajomy, niemiałbym żadnéj satysfakcyi z balu, gdyby mi ona nie pozwoliła rozmawiania z sobą przez resztę dnia. — „Ja, więcéj niż zazwyczaj wszyscy ludzie,” dodałem — »do miłości bliźniego łączę miłości własnéj, i, jeżli nie odbiorę mojéj części uciechy, po którą tu każdy przyszedł, nie zechcę przykładać się nadal do zrobienia jéj bliźnim.” — »Ty Zofijo, która podobno najlepszą z nas jesteś,” rzekła nadchodząca Teofila, która słyszała ostatnie moje słowa; »weźmiéj prosimy cię, z miłości bliźniego, obowiązek na siebie, bawienie tego pana, który, wyznam otwarcie, przez cały świat panieński osądzony, jako nietańcujący, do rzędu nudziarzów balowych należy.” — Te słowa trochę za żywo wyrzeczone, dały mi poznać, że była dotknięta moją powagą; widziałem iż zręcznie wypytywała się tych, z którymi pierwéj rozmawiałem, czy ja nie chcę, czy

też nie umiem tańczyć?... Na potwierdzenie pierwszego pytania skrzywiła noskiem, iż pierwsza danserka za którą ją tam słusznie uważano, nie była przezemnie poszukiwaną w taniec. Odrzekłem jéj więc bardzo powolnie: »Mnie się zdaje że panie daleko lepszémi jesteście niż chcecie się okazać, kiedy przez piękne usta osądzonego nudziarzem, karzecie mnie najpiękniejszą chwilą jaką miéć można w towarzystwie panny Zofii.« — Ta odpowiedź nie zupełnie była do jéj smaku, chcąc ukryć co się w jéj malowało twarzy, zdjęła rękawiczkę i uwolnioną ręką odgarnęła pukiel z czoła. Na jéj drobnéj rączce czarny żelazny pierścień mignął ciemno. Takiż sam uważałem na palcu Zofii. »Gdybym się nie lękał,« rzekłem, »będąc już raz niekorzystnie osądzonym, być uważanym za ciekawego i natrętnego, ośmieliłbym się spytać, czy te czarne obrączki noszą panie dla wydania lepiéj białości ręki?... Czarny kolor robi na mnie zawsze przykre wrażenie;« dodałem.« Spojrzały na siebie, i natychmiast spuściły oczy. »Czarny kolor« — mówiła Zofija — »by też w najmniejszym punkciku nie rzuci światła — i dla tego pan go miéć nie będziesz. Jestto za mała kara dla tych,« — przydała z uśmiechem — którzy płci naszéj w każdym czynie prożność przypisują.« Uważałem że jéj uśmiech tą razą był osłoną wspomnienia, które raczéj łzę wywoływało. Teofili już nie było — patrzyliśmy na tańcującą. Zofija mówiła o jéj przymiotach z uwielbieniem. I któżby w nie nie uwierzył? — Tyle prawdy malowało się w jéj wyrazach twarzy i słowa. — Ale ja Zofiję tylko widziałem. Używałem szczęścia słyszenia mówiącą o przyjaźni, o tém uczuciu, które tak tkliwie pojąć i odwzorować umiała — O, jakże miłość byłaby w jéj ustach ponętną — jeżeli przyjaźń przez nią wystawiona obudziła we mnie chęć być jéj przyjacielem — przyjacielem na zawsze — Nie jestżem twoim?... A jednak gdzież było szczęście?... Trzebaż koniecznie dać inne imię temu uszczęśliwiającemu uczuciu, które Zofija obudziła we mnie? —

Wkrótce dowiesz się jaki kierunek wzięły moje nadzieje, które może zmienią mój zamysł podróżowania.

(Dokończenie nastąpi.)

Obraz z życia Londynu.

Wyjątek z dzieła: *Phisiology of London life.*

Na środku jednéj z najpyszniejszych ulic stolicy, tuż przed bramą spaniałego pałacu, padł stary człowiek z osłabienia, lub z głodu. Rysy jego twarzy skrzywione, zimny pot wystąpił mu na czoło, usta zsiniały. Nato wyjrzał właściciel pałacu z okna i odwrócił się z odrazą; po krótkiéj zaś chwili wybiega upudrowany lokaj na ulicę i ogląda się za policyją, aby — ten nieprzyjemny widok usunąć. Kilku przechodzących panów przypatrnją się omdlałemu nędzarzowi i idą daléj. Kilka miłosiernych pań szukają po wszystkich kieszeniach, jakgdyby mu coś dać chciały, lecz wkońcu namyślają się także i precz odchodzą. Wreszcie zbliża się jakiś podstarzały jegomość, w sukiennych kamaszach i trzewikach, z jedwabnym parasolem pod pachą, i bierze za puls nieboraka; lecz ledwie go się dotknął, już zaczął kiwać głową, dając do zrozumienia, że to wyraźne oszukaństwo, — poczém poszedł poważnie daléj. Jakaś tylko służąca z pobliskiego pałacu podała nieszczęśliwemu — szklankę wody przez kratę.

Tymczasem zgromadziło się grono idących na obiad wyrobników w flanelowych spencerach, wokoło chorego starca; podnieśli go ze ziemi, wzięli go między siebie; jeden z nich pobiegł czémprędzéj do niedalekiej gospody, aby mu trochę gorącego piwa z imbierem przynieść, gdy tymczasem inni pocieszali otrzeźwionego. Ale gdy go któryś zapytał: gdzie mieszka? — spojrzał nieszczęśliwy okropnym wzrokiem przed siebie i wyjąknął, iż niema żadnego przytułku — żadnego schronienia, gdzieby mógł głowę złożyć.

»Biednyto człowiek!« ozwie się jeden z wyrobników do towarzyszy. »Trzeba mu pomódz. Złóżmy kilka szylingów, aby go zawieść do szpitalu. Będzieto dobry uczynek.« To mówiąc zdjął kapelusz i nadstawił go innym. Wezwanie jego zostało wysłuchaném; Samarytanie w flanelowych spencerach sprowadzili natychmiast doroszkę i zawieźli opuszczonego tułacza do Mary-le-bone.

»Ależ,« zagadnie może jakiś opasły jegomość, mający hojny z pracy ubogich dochód, nawykły przez całe życie do najwymyślniejszych wygódek i kołyszący się właśnie w miękko wypchaném krześle, — »któż wie, czyli to nie był oszust, który tylko udawał?«

Ach, tak, przyznajmy; jest oszustów bez liku, i trudno nieraz przychodzi, rozeznać ich niegodziwe podstępy od istotnych wypadków najsroższéj nędzy, jakie codziennie zdarzają się w Londynie. Nie ma też kary, któraby była dość surową na takich łotrów, chociaż nie tyle z powodu krzywdy, jaką oni przezto innym wyrządzić mogą, lecz ponieważ w ten sposób skąpcom i nielitościwym ludziom nader pożądanego pozoru do odmawiania pomocy istotnym ubogim nastręczają.

Temu, komu z dopuszczenia niezbadanych wyroków, losu ciemniejsza strona życia w udziele się dostała, kto o własnych swych nogach chodzić, na własne uszy słyszeć, własnémi oczyma widziéć jest przymuszonym, staje się sprzeczność rozmaitych stosunków życia w tak ogromném mieście jak Londyn, niewyczerpaném źródłem najprzykrzejszych dostrzeżeń. Ta sprzeczność przechodzi wszelkie wy-

obrażenie; objawia się ona zarówno na każdym stopniu społeczeńskiéj budowy i przedstawia nam ludzkie życie we wszystkich jego odcieniach, zacząwszy od promienistych kolorów tęczy aż do najczarniejszéj ciemności, a to wszystko jeszcze w najcieśniejszych granicach czasu i odległości: — o ścianę tylko od siebie mieszkają przepych i nędza, marnotrawstwo i rozpacz — wściekłość niezaspokojonego głodu i żądza roskoszy, któréj nawet skarby zadowolnić nie mogą.

O jednym i tymże samym czasie, na jedném i témże samém miejscu widziałem dzieci zamożnych rodziców, otulone w najpiękniejsze i najcieplejsze materyje, przejeżdżające się w małych, kozami ciągnionych ekwipażach po ogrodzie Hydepark, i widziałem znowu, jak inne ubogie dzieci, te dziedzice pośmiewiska i wzgardy, ubóstwa i zbrodni do których nędza prowadzi, wyłaziły z pni drzew spruchniałych, gdzie zimną noc przepędziły, mając na sobie ledwie kilka obdartych brudnych szmat, które nawet ich okropnie wychudłych członków pokryć nie były wstanie. Widziałem nędzną, obszarpaną, wygłodniałą rodzinę, któréj dzieci biegły za brzydkim w aksamitowy czapraczek przyodzianym, opasłym mopsem, idącym z bogatowystrojonym lokajem na przechadzkę. Widziałem starą, ośmdziesięcioletnią jéjmość, która niegodziwie uróżowana, w fałszywych lokach, w brokatowych sukniach, jaśniejąca od brylantów, przejeżdżała się w olbrzymiéj karécie, z trzema sążnistémi lokajami z tyłu, piastując na łonie ulubionego pieska, jako zapewne to jedyne stworzenie na całym świecie, dla którego jeszcze przywiązanie niejakie czuła — i widziałem znowu inną starą, ośmdziesięcioletnią kobietę, ową wszystkim starym wodonoszom z Wapping-Old-Stairs dobrze znajomą Mary Mudlark, brodzącą po kolana w Tamizie, aby w nadbrzeżnym jéj szlamie szukać szmat porzuconych, czerepów, kawałków starego żelaziwa, i innych podobnych drobiazgów, które za kilka groszy sprzedawała, ratując się tym jednym sposobem od śmierci z głodu.

Serce boli wyliczać te wszystkie sprzeczności ludzkiego życia, jak one codziennie spostrzegać nam się dają; możemy się z nich przekonać, jak dalece sam tylko ślepy przypadek ludzi rozdziela; jak mimo całą naszą cywilizacyję, łatwo być pozbawionym wszelkiéj pomocy, wszelkiéj obrony i wszelkiego współczucia bliźnich, skoro tylko niemasz śrebra lub złota!

Żyjemy w osobliwszych czasach; odkryliśmy siłę pary, atmosferyczne koleje, elektryczne telegrafy, i Bóg wie jakie tam jeszcze cuda; a przytém wynaleźliśmy także owe rozsądne zdania, które dziwnie samolubstwu naszemu służą, jakoto: »każdy dla siebie!»— »Kto nie może robić, niech nie je!» — »Sam sobie winien, kto cierpi nędzę!» — »Daléj! kto może naprzód, leniwcy tylko z tyłu!»

Doprowadziliśmy już do tego, że teraz o nic więcéj nie dbamy, że nam niczego już nie potrzeba — tylko pieniędzy. Pieniędzmi już tylko można zbawić ojczyznę. Praca pojedyńczego człowieka stała się dziś towarem, którego każdy jaknajtaniéj nabyć się stara; robotnicy są tylko maszynami, przeznaczonemi do robienia kapitałów dla swoich panów. Bywają jeszcze wprawdzie czasami tacy, co sądzą, iż robotnicy również są ludźmi, lecz zastanowiwszy się lepiéj, przychodzą do tego przekonania, że daleko korzystniéj, uważać ich ze stanowiska ekonomii politycznéj, to jest, jako istoty idealne, bez duszy i bez ciała.

Tak jest, niestety; sama osławiona tyranija feudalnych czasów nie postępowała sobie okrutniéj z ludźmi, niż to się dzieje w naszym wieku oświaty, gdzie kapitały bogaczów ciemiężą najsamowolniéj ubogich pracujących.

Fabryka starych obrazów.

Pewien zmarły znawca obrazów pozostawił ważną przestrogę dla wszystkich miłośników sztuki malarskiéj. Z téjże drogiém zapewne doświadczeniem nabytéj spuścizny dowiadujemy się następujących ciekawych szczegółów: W Modenie znajduje się fabryka kopij starożytnych obrazów ze wszelkich szkół malarskich, któreto kopije za oryginały sprzedawanémi bywają. Trudniący się tém ludzie przystępują z wielką znajomością rzeczy do dzieła, i są wstanie najbieglejszego znawcę oszukać. I tak biorą naprzykład jaki obraz Rafaela.. i odwzorowują takowy z zadziwiającą starannością i wprawą. Używane do tego płótno bywa zawsze nadzwyczaj stare. Dawni mistrzowie kopijowali często, jak wiadomo, swoje własne obrazy, pozwalając sobie wszakże niektórych odmian przy kopijowaniu. Tożsamo czynią też ci oszuści, i bądźto inny kolor szacie kopijowanéj osoby nadają, bądź ręce inaczéj niż na oryginalnym obrazie ułożą, i t. p. Po téj pierwszéj operacyi, stawia się malowidło w jakiéj mocno ogrzanéj komórce na strychu, gdzie w krótkim czasie wysycha. Gdy się to stało, powléka się cały obraz pewną białą masą i maluje się na niéj, umyślnie niepoprawnie, inny obraz w smaku ośmnastego wieku. I téj drugiéj warstwie kolorów nadaje się różnémi sztucznémi sposobami, podobnież starożytną barwę, okrywa się go nawet czasami pajęczyna i oprawia w stare popsute ramy. Wszyscy handlarze obrazów w Bolonii, Neapolu i Rzymie zaopatrywują się towarem téj fabryki i wystawiają go w bardzo ciemnych i brudnych sklepach na sprzedaż. Zagraniczni podróżnicy szukają tam różnych starożytności i znajdują przypadkiem sporządzony

w ten sposób obraz. Na zapytanie, co to za malowidło? — opowiada tandeciarz dobrodusznie nader ciekawą bajeczkę o tajemniczym sposobie nabycia tego obrazu, który jego ojciec od tego i tego kardynała był kupił. Przyczem czyni uwagę, iż farby są tak niezwykle grubo nałożone, że tam zapewne jakiś inny obraz na spodzie się znajduje. To wzbudza ciekawość cudzoziemca, który nie omieszkuje podjąć się kosztów odnowienia obrazu, przyrzekając podzielić się zyskiem z właścicielem, gdyby istotnie jakie mistrzowskie malowidło na jaw się okazało. Zabierają się więc do pracy; wnet znika obraz powierzchni, a inny przepyszny natomiast się pojawia. Niéma wątpienia: odkryto nowe dzieło Rafaela! Dla tém pewnejszego przekonania się wzywają obcego znawcę, który wszakże zawsze do potajemnéj spółki z tandeciarzem należy, i najuroczyściéj nieoszacowaną wartość odkrytego malowidła zaświadcza. Nie pozostaje tedy nic innego jak przystąpić do kupna. Właściciel zadawalnia się zazwyczaj nie zbyt przesadnym zyskiem, a cudzoziemiec płaci z ochotą żądaną sumę; czyż nie nabył zato obrazu Rafaela! Tak oszukują ciągle Anglików, ale też i nie jeden znawca sztuki nawet popadł w te sidła.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 5ty i zawiera: 1) O siejbie brzanki łąkowéj (*phleum pratense, Thimotheusgras*) i koniczu w jesieni. 2) Wykład praktyczny trzypolowego gospodarstwa; przez K. J. Turowskiego. 3) Rezultat uprawy nowego gatunku buraków (*Blattrüben*). Przez Józefa Żywickiego. 4) O chorobach bydlęcych, których należy obawiać się tegorocznéj zimy, i o środkach zapobieżenia im. 5) Raporta handlowe.

Nakładem księgarni Fr. Pillera i spółki, wyszło tu właśnie z druku: »*Ogrodnictwo zastosowane do potrzeb ziemianina polskiego*,« z 6 rycinami; przez autora pism »o przyozdobieniu siedlisk wiejskich« (któreto dzieło trzeciego już wydania się doczekało), tudzież »o budownictwie zastosowaném do potrzeb ziemianina polskiego«. — Każdemu w naszym klimacie ogrodnictwem się trudniącemu wiadomo będzie zapewne, że z znacznéj liczby dzieł w języku polskim o ogrodnictwie, żadne dotąd nie odpowiedziało wszechwzględnie oczekiwaniu i życzeniu powszechnemu, gdyż wydawcy ich więcéj podobno obeznani z teoryją niż z praktyką, wzięli sobie za wzór ogrodnictwo zagraniczne a za przewodników autorów obcych, bez dostatecznego względu na zachodzące między naszą ziemią a obcą różnice, tak co do położenia i własności miejscowych, jak i co do postępu w kulturze i w potrzebach mieszkańców. Autor zaś niniejszego dzieła zebrał w niém w jednę całość postrzeżenia i doświadczenia w zawodzie ogrodniczym w dość długiéj lat kolei na ziemi ojczystéj i w rozmaitych jéj stronach czynione. Przedstawił on nam dokładny obraz tego wszystkiego co ku ugruntowaniu ogrodnictwa natura nam dała, i wskazał środki do zaprowadzenia onego gdzie jeszcze nie istnieje, do dźwignienia i polepszenia gdzie się już zawiązało; — i to wszystko raczéj w sposobie praktycznego działania, niżeli drogą teoryi; mając zawsze na głównym względzie nasz klimat i rzeczywiste potrzeby naszego kraju. Dzieło to zawiera z skrupulatną dokładnością to wszystko, co nas w przedmiocie ogrodnictwa zbliska dotyczé, i jest rzetelnem zdaniem sprawy z własnych długoletnich doświadczeń autora i jego wędrówek po ziemi ojczystéj. Nie pominięto w niém nic, co tylko jest krajowe, i co pod naszem niebem niewątpliwie osiągniętem być może, tak dla wygody i przyjemności ziomków, jako i dla otworzenia im nadal źródła materyjalnych korzyści. Słowem dzieło to odpowiada najrzetelniej swemu celowi i zasługuje na największe u nas upowszechnienie.

Pomnik dla Krzysztofa Kluka. Pół wieku blisko upływa, jak zeszedł z tego świata ksiądz Krzysztof Kluk, proboszcz ciechanowiecki, kanonik kruświcki, dziekan drohicki. Bogobojny ten kapłan poświęcał wszystkie wolne chwile naukom a szczególniéj historyi naturalnéj. Czerpał on więcéj w otwartéj księdze przyrodzenia niż w dziełach uczonych, i dlatego prace jego na własnych badaniach i doświadczeniu oparte, do użytku i potrzeb miejscowych zastosowane, napiętnowane są cechą rzadkiej użyteczności. Owocem pracy czcigodnego Kluka jest kilkanaście tomów o zwierzętach, roślinach i rzeczach kopalnych. Prawdziwa zasługa i dobroczynne prace ludzi uczonych nie zawsze są dostatecznie za życia ich oceniane, słusznie więc aby potomność im nagrodziła co odmówili współcześni. Taki właśnie wypadek zaszedł z naszym zasłużonym Klukiem. Stefan Ciecierski, teraźniejszy właściciel miasta Ciechanowca, w którém Kluk urodził się i aż do śmierci większą część życia spędził — zamierzył uczcić pamięć zacnego i uczonego męża, wystawując mu pomnik w jego rodzinnym Ciechanowcu. Będzie to kolosalny posąg kamienny, wyobrażający księdza Kluka, przypatrującego się roślinie, którą wynalazł i nazwał. Podstawa posągu wyobrażać będzie w płaskorzeźbie godła zatrudnień gospodarskich i rolniczych, któremi się ksiądz Kluk z upodobaniem zajmował. Wykonanie tego dzieła powierzone zostało znanemu z swego talentu rzeźbiarzowi Tatarkiewiczowi, który godzien jest ocenić równie spaniałomyślność właściciela miasta Ciechanowca, ponoszącego cały nakład wystawienia tegoż pomniku, jak i zasługi ojczystego kapłana i pisarza, którego czcigodną pamięć ma zachować dla potomności.

Pierwsza książka w narzeczu szlązko-polskiém. Księgarnia Cieszyńska wydała niedawno pierwsze dzieło, które w gminnem szlązkiém narzeczu wytłoczonem zostało, i ztąd na uwagę zasługuje. Jestto powieść Czokiego pod nazwą: »Zaraza gorzałczana« (*Brandweinpest.*).

Niektóre daty z statystyki królestwa polskiego i Warszawy. Ludność królestwa polskiego w roku 1843 wynosiła 4.700.374 osób. Od roku 1829 powiększyła się ona o 566,740, a od 1842 o 77.062 głowy. Pod względem religii dzieli się taż ludność na 4.175.598 chrześcijan, 295 mahometanów i 524.481 żydów. W roku 1829 liczono tylko 395.102 osób pogłowia żydowskiego; od tego czasu pomnożyło się ono o 143.349, a od roku 1842 o 12.139 głów. — W mieście Warszawie jest obecnie: cukierń 25, restauracyj 12, hotelów 15, domów zajezdnych 34, traktyjerń 30, bilarów 92, kawiarń 146, szynków piwa i wódki 949, destylarń 6, handlów hurtowych wódki 8.

Autorki w Niemczech. Pisma niemieckie wyliczają 62 kobiet autorek niemieckich, które teraz po większéj części piszą romansy i powieści.

Powinowactwo między malarstwem a muzyką. Jeden z najnowszych estetyków niemieckich pisze: Wiadomo jest iż wielu znakomitych malarzy umyślnie muzyki się uczyło, aby témlepiéj zachodzące pomiędzy pojedyńczemi farbami powinowactwo zrozu-

mieć. Czytanie ich pamiętników sprowadziło mię na myśl, czyby ten ciekawy paralelizm bliżéj zbadać się nie dał? Na ten koniec starałem się ułożyć farby w ten sposób, iż podobnie jak w muzyce postępującą skalę tworzyły. Gdy mi się to powiodło, nazwałem pojedyńcze farby muzycznémi znakami *c*, *d*, *e*, *f*, *g*, *a*, *h*, i udałem się do fortepijanu w celu dochodzenia półtonów w téj kolorowéj skali. Uderzyłem *c*, i znalazłszy wszystkie czy-to zgadzające się tony, zmieszałem odpowiednie im farby mojéj skali i umieściłem ten tak zmieszany kolor pomiędzy *c* i *d*, — z czego najczyściejszy półton *cis* powstał. W ten sam sposób postępowałem z innémi farbami i otrzymałem ku mojemu wielkiemu zadowoleniu najdokładniejszą skalę. Chcąc się zaś przekonać, czy ta ogólna zasada zarówno i w szczególnych wypadkach przydatną się okaże, wziąłem jednę z piosnek Szuberta, pod napisem: Wędrowca, przetłumaczyłem częściowo nuty muzyczne na farby, i postrzegłem z radością, iż otrzymane ztąd kolory wyrażały dość trafnie charakter słów i muzyki. Melancholijne akordy były prawie zawsze złożonémi kolorami oddane; przeciwnie weselszéj nucie odpowiadał najczęściéj jasny, pojedyńczy kolor, jak n. p. czerwony, żółty, niebieski. Gdzie piosnka tęsknotę wyrażać miała, były kolory: różowy, czarny brunatny i żółty; gdzie nadzieję: zielony i czarny, czerwony i żółty; przy słowach »Gdzie moi zmarli kiedyś się zbudzą«: zielony, brunatny, czarny i niebieski; — »ziemia, gdzie mowę ojczystą słychać«: różowy, czarny, brunatny, żółty, zielony, czerwony i niebieski; — »O ziemio, gdzieś ty!«: trzy razy czarny, brunatny i żółty.

Akademija francuzka wyznaczyła na rok 1845 następujące nagrody za najlepsze utwory w wydziale poezyi: Za poemat na cześć wynalezienia machin parowych: 2000 franków; termin do 1go marca 1846. — Za najlepszą trajedyję lub komedyję, wierszem i w 5 aktach: 10.000 franków. — Za jeden lub za kilka przekładów dzieł starożytnych albo też któréjkolwiek literatury zagranicznéj: 3000 franków.

Psy w Algierze. Na wschodzie bywają psy, jak wiadomo, za nieczyste zwierzęta uważane, i mogą się wprawdzie znajdować na ulicy, lecz w domach dla nich przytułku niéma. Tożsamo dzieje się i w Algierze. Odkiedy jednak Francuzi tam wkroczyli, udają się psy tamtejsze pod ochronę żołnierzy, od których nieraz połowę ich skąpéj żywności otrzymują, zaco im téż wiernie kupami we wszystkich wyprawach towarzyszą. Takiegoż wiernego przyjaciela miał pewien woltyżer. Jednego razu przyszło mu stać na odległéj widecie. Jak się tam często zdarza, podkradł się ku niemu Beduin, który po chybionym strzale żołniérza, w okamgnieniu nożem go zamordował. Towarzysze zabitego słyszą wycie psa zdala, i wiedząc już co to znaczy, przybiegają w pomoc na miejsce. Zastają woltyżera bez głowy a psa w najwścieklejszéj walce z Arabem. Już wierne zwierzę kilka ran otrzymało, ale nie zważa nato i szamoce się do upadłego. Nareszcie powiodło mu się uchwycić nieprzyjaciela za garło i obalić go na ziemię, a w téjże chwili jeden z przybyłych towarzyszów przyskoczywszy, śmiertelny cios mu zadaje. W ten sposób zemścił się wierny pies na zabójcy swojego dobroczyńcy, za którégo rad był życie oddać.

Wiśnie bez pestek. Chcąc takowe otrzymać, trzeba na wiosnę młode drzewka wiśniowe od wierzchołku aż do korzenia na dwie połowy rozłupać, potém tak zwany szpik drzewa wyjąć, a następnie obie połowy spoić za pomocą gliny lub wosku i mocno je wełnianym postronkiem związać; sok drzewa przyspieszy zrośnięcie się, a na przyszły rok drzewo zrodzi wiśnie bez pestek.

Turkomańska poezyja. W wydanym niedawno zbiorze turkomańskich piosnek, znajduje się też następująca, która za przykład ich piękności posłużyć może: »Wylazłem na górę, pasąc trzodę owiec; tam ujrzałem dziewczę i straciłem rozum. Rzekłem do niéj: dziewczę! daj mi całusa. Ona rzekła: chłopcze! daj mi złotówkę. — Rzekłem: złotówka jest w woreczku, woreczek w torbie, torba na grzbiecie wielbłąda, a wielbłąd jest w Kermanie. — Rzekła: Całus jest za zębami, zęby na klucz zamknięte, klucz jest u mojéj matki, a matka przy wielbłądzie twoim w Kermanie.«

Wpływ kamfory na kwiaty. Zmieszanie cokolwiek roztworu kamforowego z wodą, w któréj ucięte kwiatki stoją, sprawia, iż kwiatki nietylko daleko dłużéj niż zwykle w czystéj wodzie się zachowują, lecz nawet, iż prawie piękniéj i silniéj rozkwitają, niżli w wazonkach.

Bawiący teraz w Paryżu naczelnicy arabscy są także najmodniejszym przedmiotem publicznéj ciekawości. Wszyscy opowiadają sobie zabawne o nich anegdotki, przed każdym sklepem rycin widać ich wizerunki, a dziennik »*Charivari*« przedstawia tych biednych synów puszczy brodzących w śniegu, pokulonych od zimna, z dużémi sąplami szronu na wąsach. Inny dziennik donosi iż przed kilką dniami byli Arabowie w pewnéj cukierni. Nic ich tak mocno nie zdziwiło, jak widok wypiekanych z cukru dwudziestofrankówek, które tam w wysokich stosach poukładane leżały. Pomimo najusilniejsze zapewnienia tłumacza, iż to tylko są bawidełka, nie mogli się napatrzyć tym mniemanym skarbom i zakupili wszystkie podobne cukierki, błogosławiąc cukiernika wszelkiemi błogosławieństwami koranu, iż ich miljonowymi panami uczynił. — Również komiczna scena zdarzyła się w dyjoramie, dokąd tłumacz zaprowadził Arabów, aby im potop świata pokazać. Lejące strumienie deszczu przejęły ich najżywszą trwogą; nie można ich było żadną miarą przekonać, że ta okropna scena zniszczenia, jest tylko łudzącém widowiskiem. Byli najmocniéj przekonani, iż wszyscy od tego deszczu przemokli, i nietylko sami inne szaty na siebie wzięli, lecz i swego tłumacza do uczynienia tegoż samego przymusili.

Zbawienne skutki gwizdania. Préville, jeden z najsławniejszych aktorów przy *Théatre-Francais* w Paryżu mawiał: »Zabronienie gwizdania w teatrze jest głównym powodem dzisiejszego upadku sztuki. Doświadczyłem tego sam na sobie, iż nierozsądne oklaski pobudzały mię do przesadzania, krzyku i wielu innych błędów. Gdyby mię w takim razie jaki bezstronny znawca, lub też kilka gwiżnień były na dobrą naprowadziły drogę, stałbym się był niezawodnie daleko lepszym aktorem, niż przy nieustannych oklaskach jestem dzisiaj.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.